Dodatek do „Gazety Narodowej"

z dnia 11 Marca 1900.

Buddha i Teozofia.

Sektą religijną, nawet wcale poważną liczebnie w Paryżu są Buddyści. Jawnych wyznawców Buddaizmu naliczyćby można w Paryżu do 10.000, okolicznościowo doń się przyznaje około 100.000.

Miejscem ich zboru jest muzeum Guimet na Rue Magazin a konserwator tego muzeum pan Millane jest zarazem nauczycielem tego kultu i tłumaczem.

Najwyższy kapłan Buddystów nazywa się Horion Toki. Z nabożeństwa, przezeń odprawianego jaskrawie wybija się cała mieszanina buddaizmu naturalnego, importowanego z Indyi wschodnich, ze zdecydowaną i przeważającą tu przymieszką Nirwany dalej katolicyzmu. wreszcie zmodernizowanej filozofii Schoppenhauera i Hartmanna.

Tej nauki trzymają się jedn.k tylko ortodoksi, istnieją bowiem także wyznawcy ściśle estetycznego buddaizmu, którego naczelną głową jest znany w Paryżu romansopisarz de Rosny. Wierzą oni we wieczne istnienie materyi i w przetwarzanie się tej materyi po śmierci danego osobnika w stworzenia innego kształtu, znane we filozofii pod nazwą tzw. pośmiertnej inkarnacyi.

Zresztą kapłani tej ostatniej odmiany buddaizmu są wobec swych wyznawców niezmiernie liberalni. Pozwalają im nawet wierzyć w ten całokształt dogmatów, jaki sobie każdy z nich sam skonstruuje, z góry nawet ten system religijny akceptując.

Nabożeństwo buddaistów, które odprawia ich kapłan najwyższy Horion-Toki w Muzeum Guimet zawiera w sobie dużo nawet poezyi, ale przytem i dużo prozy. Horion-Toki indentyfikuje się w niem z pojęciem bóstwa, wzywa obecnych do składania modlitw za jego pośrednictwem i każe im wierzyć, że na jego wołanie świątynia zapełnia się mnóstwem przeróżnych bogów i bożków i to nawet w zdecydowanej liczbie 1061. Wierni oddają cześć tym bóstwom przez składanie im ofiar w postaci owoców i kwiatów. Cały zresztą aparat i konstrukcya części składowych tego nabożeństwa odznacza się silnem zabarwieniem egzotyzmu wschodniego i mistyczno-indyjskiej poezyi.

Jeszcze ciekawszą jest sekta **teozofów**. Pierwsze skrzypce w niej trzyma sławna pani Blovat i pan Olcott. Pani Blovat utrzymuje z niezachwianą powagą, iż sama jest istotą wyższą, obdarzoną nadludzkimi przymiotami. Powołać osobę zmarłą lub nawet jeszcze nienarodzoną na ten ziemski padół ma być dla niej nic nieznaczącą drobnostką. Suggestyą swą doprowadza do tego, iż ktoś słyszy dzwonienie dzwonów wówczas, gdy tych dzwonów zupełnie nie ma, że osoba X zobaczy nagle olbrzymiego pająka, siedzącego na jej ręku wówczas, gdy na tej ręce żaden nawet przedmiot się nie znajduje.

Wszystkie te jednak cuda nie wiele widać imponują Francuzom, gdyż sekta teozofów liczy zaledwie 200 wyznawców. Kapłanem ich jest pan Matthey, autor słynnego romansu „Czarny punkt". Ciekawe choć wcale nie nowe są dogmata sekty teozofów.

Wierzą oni i pochlebiają sobie, że już z przyjściem na świat pierwszego człowieka teozofia była wyznawaną na globie ziemskim. Potem coraz więcej gromadziła adeptów koło siebie i to w tym porządku, że z końcem każdego wieku liczba ich z niebywałą szybkością wzrastała a z początkiem znów równomiernie spadała. W gronie jej wyznawców znajdowali się kolejno, Cagliostro, Saint Germain, Gazalte itd.

Oni tej teozofii wskazali nawet główne wytyczne. Dzięki im jednak teozofia dużo straciła ze swej pierwotnej czystości, nato miast tyle obcych przymieszek przybrała, że dziś łatwo ją można wziąć niekiedy za spirytyzm albo też buddaizm.

Wytycznym celem teozofów jest założenie związku, obejmującego ludzkość całą jednym braterskim łańcuchem. Związek ten byłby pewnego rodzaju Eleuteryą, o jakiej założeniu myśli obecnie prof. Lutosławski w Krakowie. Jak się pokazuje, myśl prof. Lutosławskiego nie jest ani nowa, ani też oryginalna, ale importowana jak zawsze do nas... z Paryża. Eleuterya ta teza teozofów przedsięwzięła sobie zjednoczyć w sobie wszelkie obecne systemy i wierzenia, nie zaniedbując przytem podpatrywania pełnej tajemnic potęgi bogów. Zaprowadzić przytem należy powszechną zgodę i pokój, a ze świata zniknąć muszą tego rodzaju piekielne wynalazki, jak bomby, trucizny itd. Zapanować ma wtedy powszechny raj i miłość.

Ścisłość historyczna każe przyznać, że faktycznie związek teozofów istnieje na prawdę dopiero od lat 10. Mimo tak krótki czas trwania posiada on kilka, specyalnie celom swoim poświęconych organów, jak: „Lotos", „Revue Theosophique", „Błękitny Lotos" itd.

Z chwilą śmierci pani Blovat, rządzą dalej związkiem: w Europie Anna Besant, w Ameryce p. Jagde, w Azyi p. Keisthley.

Teozofowie utrzymują, iż świat nigdy nie był stworzony, ale istniał wciąż bez początku (?) i istnieć będzie dalej bez końca, co im nie przeszkadza w dalszym ciągu postawić tu zasadę, iż nic nie powstało bez przyczyny, czyli, że zbieramy to tylko, cośmy posiali, że złe wytwarzają tylko ludzie sami między sobą, że we wszechświecie jest równowaga złego i dobrego itd.

Z tem wszystkiem z całej teozofii jest a raczej była pani Bloout. Opowiadała ona np. w kółku swych znajomych, że gdy pisała swe cudowne dzieło pod tyt. „Isis zdemaskowana czyli świat czarów" nieraz pracowała nad niem na dobę 20 godzin. Raz gdy tak znużona zasnęła nad pisaniem, potem obudziwszy się spostrzegła, iż jakaś tajemnicza ręka dopisała jej 30 stron dalej samych bardzo ciekawych a tajemniczych rzeczy. Dlatego jej dzieło jest takie wielkie i tyle rzeczy cudownych w sobie zawiera.

Gdy bawiła w Indyach, raz znalazła tam się bardzo bliską śmierci. Ale uratował ją wielki Mohatwa, gdy stanął nad nią i rzekł:

— Żyć jeszcze będziesz i musisz tak długo, dopóki nie przejdziesz tych wszystkich cierpień i przeciwności, które ci są przeznaczone.

I pani Błogat wstała z łoża boleści, aby cierpieć i dalej znosić się z tajemniczymi duchami, którzy ją bardzo poufałą zaszczycili przyjaźnią. Wszystko to — powiada o niej pan Matthey — byłoby ostatecznie jeszcze cudowniejszem oszustwem, niż sam cud, gdyby — nie było prawdą!...

Nikomu nie można zabronić wierzyć w to, co nawet na świecie nigdy nie istniało i istnieć nie może.

Sztuki piękne.

„Dzierżawca z Olesiowa"

(Komedya w 4 aktach Zygmunta Przybylskiego).

Dawno już nie opuszczaliśmy teatru pod tak miłem i sympatycznem wrażeniem, jak wczoraj. Stało się to za sprawą nowej komedyi Przybylskiego pt.: „Dzierżawca z Olesiowa", która w dorobku literackim młodego autora zaznacza także i wielki postęp, ujawniający się w głębszem rysowaniu postaci scenicznych.

Niezwykła szczerość i prostota, naturalny wdzięk, pogodny i jasny uśmiech, owe zalety, które Przybylskiemu zjednały rozgłos i popularność w takich niezapomnianych nigdy utworach, jak „Wicek i Wacek", „Dwór we Władkowicach", „Bzy kwitną", „Pierwszy bal" itd. występują również w całej pełni i w najnowszej jego komedyi. Humor i dowcip może nie mają silniejszego kolorytu, jest więcej rozwagi i powagi w tych przeróżnych zwrotach i półsłówkach, jakich tutaj poddostatkiem, ale jest za to znowu taka ciepła, serdeczna, swojska nuta, że utwór sprawia dobre wrażenie, ujmuje widzów i pod tym względem przewyższa nawet jego poprzednie komedye. Patrzy się i słucha najnowszej sztuki Przybylskiego z pewną przyjemnością; ten obraz życia wiejskiego, malowany z flamandzką drobiazgowością, bez dużej przesady, jakby „w słońcu", wywiera istotnie na wszystkich tak serdeczne wrażenie.

Tytułowy bohater komedyi, ów „Dzierżawca z Olesiowa" przynosi prawdziwy zaszczyt talentowi autora. Postać to oryginalna, żywa, nowa i postawiona w komedyi Przybylskiego tak umiejętnie, że podziwiać trzeba znajomość sztuki technicznej. Ten „dzierżawca" wypełnia prawie całą komedyę, niezasłaniając jednak zbytecznie innych postaci, a szczególniej dwóch ślicznych ról Zofii i Ewy, oraz całej zabawnej galeryi śmiesznych i pretensyonalnych plotkarek.

Pan Władysław Czerski, dzierżawca z Olesiowa, postrach wszystkich mężów w okolicy, bo wyrobił sobie opinię wielkiego bałamuta, zjawia się w domku swego sąsiada Zadorskiego, gdzie obiecuje sobie dobrze się zabawić ze względu na młodą i piękną panią Zadorską. I kto wie, do jakiejby przyszło katastrofy, gdyby na szczęście, pani Zadorska, poza swoją uczciwością i skromnością, nie miała młodszej siostry, która pomimo woli paraliżuje gorące afekta pana dzierżawcy i w końcu dla siebie je zjednywa.

Na tym wątku snuje się komedya przez cztery akta, a snuje się zajmująco, nietylko ani przez chwilę nie nużąc, ale przeciwnie potęgując wrażenie. Przewija się przed oczyma widzów tyle scen zabawnych i wesołych, gdy podstarzałe panny i wdówki usiłują zdobyć serce pana dzierżawcy, nie dając mu spokoju w jego własnym domu, że publiczność zanosi się od śmiechu. Jest w tych scenach owa zamaszysta wesołość, znamienna cecha talentu Przybylskiego.

Nas jednak o wiele więcej ujęły za serce sceny poważniejsze, kreślone subtelniej, z uczuciem, udzielającem się i widzom. Jest ich tu wiele, a koroną ich ostatnia scena w akcie czwartym między Leszkiem i Ewą. Czuje się w tej scenie jakieś ożywcze tchnienie wiosny, jakąś balsamiczną woń bzów i jaśminów i słucha się tych szczerych, prostych wyznań z bijącem sercem.

Nie potrzebujemy chyba dodawać, że publiczność lwowska przyjęła najnowszą komedyę Przybylskiego z najżywszem uznaniem; huczne oklaski i wywoływania powtarzały się po każdym akcie.

Powodzenie komedyi zapewnione i zamknie ona prawdopodobnie okres rodzimej sztuki w starym gmachu Skarbkowskim. Nie mały to zaszczyt dla Przybylskiego a niewątpliwie i pociecha, że swoją najnowszą komedyą uświetnił ostatnie chwile Skarbkowskiej sceny.

Artyści grali wybornie, z widocznem rozmiłowaniem w swych rolach i przejęciem.

Prym trzymały pp. Stachowiczowa, Gostyńska, Cichocka, Kwiecińska i Ordonówna a z panów Chmieliński, Feldman, Sosnowski, Jaworski, Walewski, ale i mniejsze role miały dobrych przedstawicieli w pp. Rybickiej Modzelewskiej, Zejdowskim, Wysockim itd.

Teatr był przepełniony.

* **Koncert kompozytorski** p. Wład. Żeleńskiego zapełnił wczoraj doszczętnie salę Domu narodnego doborową publicznością. P. Żeleńskiego, jako też wykonawców nagradzano hucznemi oklaskami. Koncert będzie jeszcze powtórzony w poniedziałek i wówczas obszerniej napiszemy, dziś zaznaczamy, że odśpiewana przez Myszugę piosnka Janka z opery p. Żeleńskiego pod tym tytułem, wywołała formalny entuzyazm.

Repertoar teatru hr. Skarbka.

W niedzielę o pół do 4 po południu po raz 4 „Wróble" kom. w 3 akt. Labicha i Delacoura.

W niedzielę o pół do 8 wieczór po raz 2 i ostatni w tym sezonie „Faust" wielka opera w 5 akt. Guonoda z panną Bohus w partyi Małgorzaty. Występ Aleksanda Myszugi, Juliana Jeromina i Józefa Szymańskiego.

W poniedziałek po raz 2 „Dzierżawca z Olesiowa" komedya w 4 aktach Zygmunta Przybylskiego.

We wtorek po raz 23 „Lalka" operetka w 4 aktach Audraza z panną Schuppówną w roli tytułowej.

We środę po raz 3 „Dzierżawca z Olesiowa".

We czwartek po raz 1 „Otello" wielka opera w 4 aktach J. Verdiego. Występ Teresy Arklowej, M. Schlafenberga i J. Szymańskiego.

W piątek po raz 1 „Opieka wojskowa" komedya w 3 aktach Stanisława Bogusławskiego.

W nauce: „Robert dyabeł" opera Mayerbera „Opieka wojskowa" kom. w 3akt. St. Bogusławskiego „Chrzest ognia" obraz dramat. w 1 ak. przez Lechitę „Futro bobrowe" kom. w 4 akt. Gerharda Hauptmana.

* **Koncert doskonałego skrzypka warszawskiego** S. Barcewicza zapowiedziany został w Krakowie na 13 bm.

* **Pierwszy słownik czesko-polski** zaczął drukować w Pradze prof. Józef Hora. Nad słownikiem pracował lat cztery, a sześć następnych lat szukał w Czechach i w Polsce nakładcy na swoją pracę. Nie znalazł go, więc zaczął sam wydawać swój słownik. Pomoc pieniężną dali mu najwydatniejszą pp. Erazm Majewski i Jan Karłowicz.

* **Pod skromnym tytułem** „Kilka szczegółów z przeszłości miasta Jarosławia w ziemi przemyskiej" tytułem broszury wydanej przez p. J. B. Chołodeckiego, kryje się praca większej wartości. Jestto właściwie monografia Jarosławia, napisana nader treściwie a przytem zajmująco, zawierająca też mnóstwo ciekawych szczegółów historycznych bardzo interesujących, a na które w ogólnych polskich historyach miejsca nie ma. Broszurka p. Chołodeckiego jest bardzo miłą i pouczającą lekturą.

* **Muzyk polski w Paryżu.** W Paryżu ostatnie „matinée Berny" (są to popołudniowe eleganckie koncerty w sali „des Mathurins") poświęcona była wyłącznie dziełom naszego kompozytora Zygmunta Stojowskiego. Najpierw sam kompozytor ze współudziałem znanej skrzypicielki angielskiej pani Howland wykonał swoją sonatę (op. 13) którą już kompozytor grywał na swoich koncertach. Szczególnie część II i III („allegretto cappriccioso" i „thème varié") osnute umiejętnie na wdzięcznych motywach swojskich, podobały się i żywo były oklaskiwane. Niemniej pięć pieśni Asnyka i „Krakowiak" K. Wasilewskiego w dobrem tłumaczeniu p. S. Bordèse, odśpiewane, podług uczonej, a zarazem głęboko uczuciowej i różnorodnej muzyki Stojowskiego, trzy przez p. Karola Fürstenberga, trzy przez pannę Deshays. Duża to zasługa Stojowskiego, że piękną swoją muzyką i staraniem o dobre tłumaczenie upowszechnia te perełki poezyi naszej. Mniej narodowy charakter mają: wielki koncert (op. 3) który nieraz już był wykonywany z powodzeniem przez orkiestry w Manchestrze, Berlinie, Kolonii, a z którego romans i finał odegrał autor na dwa fortepiany z p. Bernym, oraz „Caprice" (op. 16) dotąd nie grany bo zupełnie nowy, walc (op. 12) i „Prząśniczka" ale za to są to — szczególnie ostatnia, sławna już „Fileuse" Stojowskiego, — prawdziwe klejnociki techniki kompozytorskiej, w których słuchacze podziwiali słynną technikę wykonawczą starego mistrza Ludwika Diémera, profesora konserwatoryum paryskiego. Pod jego kierunkiem kształcił się tam kiedyś Stojowski i profesor stawił się osobiście złożyć daninę uznania ulubionemu swojemu uczniowi. Całość koncertu dała słuchaczom jaknajpochlebniejsze pojęcie o szlachetnej i podniosłej twórczości Zygmunta Stojowskiego.

* **Praca jednego człowieka.** Dzienniki finlandzkie podają przykład, jak olbrzymie skutki może częstokroć osiągnąć silna wola w połączeniu z pracą. Oto nauczyciel szkoły wiejskiej w Żukstach, w Kurlandyi, p. Leochis Puszkajtis, już od lat 20 zbiera baśnie ludu łotyskiego. Dotąd wydał już 1,985 baśni w 6 tomach. Tom 7, obejmujący 3,887 podań i baśni, jest już do druku przygotowany. W żmudnej tej pracy wspierało p. Puszkajtisa około 200 nauczycieli i wogóle osób inteligentnych. Koszta wydawnictwa pokrywa w części komitet naukowy towarzystwa łotyskiego z Rygi, w części jeden z najbogatszych Łotyszów, p. Wissendorf. Wielotomowy zbiór p. Puszkajtisa będzie cennym nabytkiem piśmiennictwa łotyskiego, nabytkiem którym nawet nierównie bogatsze i potężniejsze nerody dotąd poszczycić się nie mogą.

* **„Orlątko"** — **„l'aiglon"** — taki tytuł nosi najnowsza sztuk Rostanda. przedstawiająca dzieje syna Napoleona I, księcia Reichsztadzkiego. Albert Tissot w jednym z miesięczników francuskich zdaje sprawę z rozmowy swej z Rostandem o nowej tej sztuce: „Dramat mój — mówił autor — ma bardzo mało wspólnego ze sztukami, które co sezon zwyciężają lub padają na scenach paryskich. W sztuce mojej niema intrygi w pospolitem tego słowa znaczeniu, pomimo to, przypuszczam, iż publiczność na niej nudzić się nie będzie. „L'aiglon" przy tem nie jest sztuką ani polityczną ani filozoficzną. Unikałem zbyt dobitnych aluzyi do wydarzeń historycznych, nie chciałem też stwarzać Hamleta w białych spodniach. Całą usilność moją poświęciłem na opracowanie epizodów malowniczych lub komicznych, na stworzenie sztuki, któraby zajmowała i bawiła w tym samym stopniu, co „Cyrano de Bergerac". Starałem się odmalować syna Napolena I takim, jakim był w istocie: pięknego i sympatycznego, ulubieńca kobiet, nieszczęśliwą ofiarę losu. Bohaterką właściwą sztuki jest Marya Ludwika."

Teatr an der Wien. Właścicielka i dyrektorka wiedeńskiego teatru an der Wien bogata panna Schönerer ustępuje ze swego stanowiska, a konsorcyum, starając się o nabycie teatru, zamierza zupełnie usunąć operetkę z programu, a wprowadzić natomiast dramat i komedyę w wysokim stylu, tak, aby módz współzawodniczyć aż — z Burgiem.

Kalendarz.

W niedzielę 11 marca Konstantego — Prokopia.

Wschód słońca d. 11 marca o godzinie 6 min. 30, zachód o godz. 5 min. 33.

W poniedziałek 12 marca Grzegorza W. — Wasyla.

Wschód słońca d. 12 marca o godzinie 6 min. 28, zachód o godz. 5 min. 54.

Gałązka szczęścia.

Było to ku wieczorowi w dzień św. Barbary. Nie było jednak jeszcze mrozu, ani śniegu, tylko zimny wicher z północy dął ostro po świecie.

Basia Złonicka rzuciła paszę krowie za drabinę, przyniosła w putniach wody do izby, aby się przed pojeniem nieco zagrzała, na słomiance starła błoto z trzewików, aby „pożytku" z domu nie wynieść, spuściła wierzchnią spódnicę podkasaną i wyrównała nową zapaskę, którą zapasała na znak, że to dziś jej patronki.

Jeszcze sięgnęła do kieszeni, czy ma tam kozik, zawiązała chustkę na głowie i wyszła na pole.

Poszła sobie naciąć „gałązek szczęścia". Chwilkę się zastanowiła, dokąd iść, czy do sadu wiśniowego Pitynowiczów w górę, czy może po za potok do ogrodu Swobodowiczów — w górę może już za późno — zanim tam dojdzie, zmrek zapadnie i Basia nie zobaczy gałązek, aby wybrać tylko takie, co mają wiele okrągłych pączków na kwiat, a nic spiczastych na liście.

Zlazła tedy do potoku i szła ostrożnie przeskakując z kamienia na kamień, aby się nie zamaczać.

Jakiś czas szła potokiem, potem wyskoczyła na brzeg, na którym był gęsty żywy płot, a za nim stare trześnie, pochylające swe korony aż nad potok.

Tu sobie natnie prętów szczęścia, aby jej nikt nie zobaczył; — nie dlatego jakoby ją Swobodowicze mieli złajać, że im trześnie obcina — to nie, ale że gałązka wieczorem w dzień św. Barbary panny ucięta ma tem większą moc, im mniej oczu widziało jej ścinanie.

Włoży je do starego dzbana w stajni na oknie, bo tam prawie ciągle tak ciepło, jak w łaźni, każdego dnia naleje świeżej studziennej wody, więc byłoby źle, gdyby do wilji nie zakwitły.

A będzie na te wiśniowe gałązki lepiej uważać niż w latach poprzednich. — Krowa ma nowy łańcuch; nie urwie go tak łatwo jak zeszłego roku, gdy jej prawie już rozwiłą trześnię zjadła prawie że przed wilją — Antkowi nakaże z góry, aby nie zostawiał zbyt długo drzwi od stajni otwartych, boby gałązki mogły zmarznąć, kury wyżenie, aby ich nie zrzuciły, a krowa nie przydeptała.

Gdy Pan Bóg da a zakwitnie do wilii — wzięłaby sobie jeden kwiatuszek do „modlącej" książki z sobą na pasterską mszę — ten jej pewnie sprowadzi szczęście.

A Basia pragnie szczęścia — pragnie go chociaż nie wie, jak je sobie wyobrazić. Tylko jakby mgła unosi się jej niekiedy przed oczyma, a ma podobieństwo do — wesela...

Basine serce dotąd wolne, nikogo sobie nie upodobało. A Basia to wcale piękne dziewczę, jakby kwiat wiśniowy, ba, raczej jak sama wiśnia, ale mało ma „dodatków" — wiana...

Nacięła gałązek — raczej więcej, niż mniej, bo gdyby jakie nieszczęście się stało, niechby przecie jaka pozostała — byle tylko Pan Bóg dał, żeby zakwitły do wilii a nie aż na Nowy Rok, jak się to raz stało, i aby kwitły jak głupie aż do Gromnic! Cóż wtedy po nich? Tylko w święta Bożego Narodzenia mają moc wielką, a później żadnej.

Basia skoczyła z brzegu — a tu przed nią stoi — Franek Swobodowicz. Rzuciła się w bok i byłaby prawie upadła do wody, gdyby jej w sam czas nie był Franek pochwycił; wolałaby była ze wstydu na sto siąg zapaść się w ziemię, niż że ją tu Franek zastał i to on właśnie, jak cięła gałązki szczęścia — i na ich ogrodzie.

A Franek tylko się uśmiechał i trzymał ją silnie za rękę, w której miała te czarodziejskie pręty.

— Taaak?! toś ty tu, na naszem cięła gałązki szczęścia! a któż ci pozwolił?

Głos jego był słodki jak miód.

Basia milczała, tylko sobie drugą wolną ręką przyciągnęła zapaskę i zakryła nią oblicze i nie obroniła się, gdy Franek zapaskę odrywał.

— A to sobie myślisz Basinko, że to tak za darmo możesz nam szczęście zabierać? O, tak nie może być, lubko. „Coś za coś" — i w jednej chwili Franek ujął ją ramieniem w pół i na wiśniowych ustach wycisnął gorący całus.

— To masz, a na wilię wieczorem przyjdę po kwiatek szczęścia.

Puścił dziewczynę — a ta jednym susem przeskoczyła potok i znalazła się na drugim brzegu, pędem odtąd biegnąc. Zdawało się jej, że właśnie w tej chwili zjawiło się w jej duszy wielkie szczęście, które sięga aż pod obłoki.

Zaniosła do domu wiśniową gałązkę szczęścia i strzegła jej, jakby skarbu najcenniejszego...

91

Z ZAZDROŚCI

POWIEŚĆ

Napisał JULIUSZ MARY.

(Ciąg dalszy)

— Więcby to było?...

— Ach! mój Boże!

Zacni chłopcy zbledli jak papier i trząść się zaczęli.

Goliat, dla zwrócenia uwagi, podniósł rękę.

— Panie prezesie...

— Usiądź i milcz...

Goliat błagał:

— Panie prezesie. Bastyl i ja mamy coś bardzo ważnego do powiedzenia...

— Zbliżcie się...

Przyszli.

— Co chcecie zeznać?

— Och! to bardzo proste, panie prezesie... opowiadaliśmy przed chwilą, że zastaliśmy nasze fuzye wystrzelone i że nie tracąc czasu, zabraliśmy się do nabijania ich z powrotem...

— Cóż nas to może interesować?...

— Nie interesuje panów?.-. Więc chyba nie rozumiecie?

— Dobrze powiedziałeś, nie rozumieją — rzekł Bastyl wściekły i z pogardliwem wzruszeniem ramion.

— Mówcie wyraźnie i prędko, albo wracajcie na wasze miejsca.

— Mamy wracać na miejsca? Przypuszczam, że nie prędzej, aż wszystko powiemy... Otóż, nabijaliśmy fuzye i naraz spostrzegamy, że zapomnieliśmy wziąć z sobą przybitek, albo papieru, co wszystko jedno... Na szczęście zobaczyłem na ziemi papier... Dzielimy się nim, przybijamy, nie spojrzawszy nawet, że to papier zapisany. No, a teraz pan zrozumiał? Ten papier to musiał być ten sam, o którym sierżant powiadał; deklaracya podpisana przez niego i przez Ragona, która mogłaby go uniewinnić i dowieść, że był pojedynek i że wszystko odbyło się uczciwie...

— A co się stało z tą przybitką?

— Siedzi jeszcze w naszych fuzyach... Nie mieliśmy sposobności wystrzelenia ani razu jednego w lasach Grand-Paradis... Sami byliśmy zwierzyną dla strażników włoskich i zamiast polować na kozły króla Humberta, to na nas polowano.

Prezes zapytał Bastyla, który dotąd milczał:

— Potwierdzasz wszystko, co mówił twój przyjaciel?

Zacny Bastyl zapytany, nie zważając na majestat sądu, odpowiedział tylko:

— Tak powiedziałeś!

Lecz wobec ogólnego wybuchu śmiechu, poprawił się, bo w dodatku Goliat trącił go w bok silnie.

— Potwierdzam, panie prezesie, ma się rozumieć, że potwierdzam!

— Gdzie są wasze fuzye? — zapytał prezes, zaledwie mogąc śmiech powstrzymać.

Goliat i Bastyl spojrzeli na siebie, z wielkiego wzruszenia zapomnieli odpowiedzieć.

Prezes musiał powtórzyć pytanie.

— Ponieważ nie strzelaliście, więc przybitki musiały pozostać w lufach, i co zatem idzie, nic łatwiejszego, jak dowieść nam, że wasza historya prawdziwa.

— Ma się rozumieć, to byłoby łatwo, lecz...

— No więc, jakaż przeszkoda?

— Tak, tak, jest przeszkoda.

— Jaka?

— Nie mamy już tych fuzyj.

— A gdzie są?

— W górach.

— Dlaczego?

— Schowane w grocie, na terytoryum włoskiem...

— Na samej granicy.

— Kto wie, czy są tam jeszcze?

— Czy strażnicy ich nie znaleźli?

— Ach! nieszczęście! nieszczęście!

— No, wytłómaczcie się — rzekł prezes zniecierpliwiony.

Goliat i Bastyl opowiedzieli swoje wypadki i jak Marcigny wybawił ich z rąk straży leśnej.

Marcigny słuchał z łatwem do zrozumienia wzruszeniem. Ten papier, o którym myślał, że przepadł, znaleźli ci dwaj ludzie. A traf chciał, żeby nie był zniszczony.

Czy wreszcie uznają, że niewinny? Czy jest już ocalony?

Cecylia z głową wyciągniętą w stronę Goliata i Bastyla, z pół otwartemi ustami, jakby kąsać gotowa. czuła, że Marcigny wymyka się z jej szponów.

I to ci dwaj ludzie, dwaj alpejczycy, żołnierze podkomendni jej syna, wydzierają jej zdobycz.

Mruczała przez zęby:

— Nie, nie, nie ocalą go, nie chcę tego, prędzejbym go zabiła! Dlaczego nie zabiłam go tej nocy, kiedy był u mnie, w moich rękach!

Zeznanie Goliata i Bastyla zmieniło pogląd na sprawę. Jeżeli dowiodą prawdy słów swoich, jeżeli papier istnieje rzeczywiście, to wielki wpływ wywrze na całą sprawę. Przerwano posiedzenie.

Nie można było przypuszczać nawet, żeby sąd nie wziął pod uwagę tego, co zeznali Goliat i Bastyl, a co zatem idzie, odłożył sprawę na później, ażeby dać czas alpejczykom do odzyskania fuzyj.

Takie postanowienie wygłosił trybunał, przyjęte przez publiczność z uznaniem.

Naturalnie, polecono panu Labordierowi zająć się odszukaniem broni, który też zawezwał nazajutrz Goliata i Bastyla, poszedł z nimi do Belle-Etoile na miejsce, gdzie Ragon się zabił, następnie, pomimo niepogody, dotarli do granicy góry Ruitor.

Sędzia wziął także wachmistrza. We czterech tedy, popołudniu byli nad brzegiem przepaści.

— Tam, tam, widzi pan? po drugiej stronie? — mówił Goliat, wskazując grotę.

Drzewo, które wyrwali z korzeniami, leżało jeszcze, jak wątły most ponad rozpadliną. Dzięki temu nie potrzebowali spuszczać się w głąb i wspinać się znów w górę, jak robił Marcigny, śpiesząc im na ratunek. Najpierw przeszli Goliat i Bastyl. Za nimi sędzia. Wachmistrz został na stronie francuskiej. Upłynęło kilkanaście minut. Sędzia, Goliat i Bastyl, zniknęli w czarnej czeluści groty i prawie zaraz ukazali się z powrotem. Goliat i Bastyl nieśli fuzye i nie mogąc powstrzymać radości, krzyczeli:

— Ocalony! Ocalony!

Po przejściu powtórnem wątłej kładki, usiedli.

— Przybitka jest, napewno! — rzekł Goliat. — Wykręć swoją Bastyl.

W mgnieniu oka, na płaskim kamieniu leżał proch, kule i dwie przybitki. Tak, jak powiedzieli, były zrobione z przedartego kawałka papieru. Pan Labordier rozłożył je starannie. Goliat, Bastyl, wachmistrz nawet, pochyleni, patrzyli dech wstrzymując. Kawałki papieru przystosowane do siebie, mówiły:

„Pojedynkowaliśmy się uczciwie, lecz bez świadków. Ażeby ten, co pozostanie przy życiu, nie był posądzony o zabójstwo, podpisujemy dobrowolnie tę deklaracyę, żeby służyła jako świadectwo".

Następowały podpisy Piotra Ragona i Marcignego, wyraźne, kreślone ręką pewną.

Pan Labordier zamyślił się. Miał w rękach dowód honorowego pojedynku. Nie było co robić na Ruitorze, zabrali się do powrotu.

Lecz niepogoda, grożąca od rana, teraz się na dobre rozhukała. Deszcz ze śniegiem padał ulewny. Goliat i Bastyl zaprowadzili pana Labordiera do Chapieux. O dziesiątej godzinie wieczorem dopiero się tam dobili. Ogrzeli się, posilili i noc przepędzili wygodnie.

Nazajutrz przy wyjściu mieli prześliczną pogodę. Około południa stanęli w Albertvillu. Pan Labordier, nie tracąc ani chwili, udał się do sądu, podczas gdy Goliat i Bastyl starali się rozpowszechniać dobrą wiadomość. Wieczorem, dzięki dwóm zacnym alpejczykom, całe miasto wiedziało już o rezultacie poszukiwań w grocie.

Kiedy sprawa przyszła znów przed sąd napływ publiczności był wielki; otwarcie posiedzenia nastąpiło wśród ciszy uroczystej. Prezydujący streścił w kilku słowach wszystkie dotychczasowe zeznania i przyszedł z kolei do ostatnich objaśnień udzielonych przez alpejczyków. Zdał sprawę z misyi powierzonej panu Labordier i wobec ogólnego wzruszenia przeczytał tajemniczy papier, odnaleziony tak cudownie.

Dotąd streszczenie prezesa było prawie przychylne dla Marcignego. Lecz teraz głos jego łagodny stał się surowszym. Przypomniał, że w rzeczywistości tajemnica, ciążąca nad śmiercią Ragona, nie była wyjaśniona. Sędziowie nie będą mogli wydać wyroku z czystem sumieniem.

I dowiódł tego, odtwarzając historyę rywalizacyi tych dwóch ludzi i tych podwójnych zaręczyn, przy których, niewątpliwie, młoda dziewczyna, ulegając przymusowi, została ofiarą. Zkąd ten przymus pochodził? Kto i w jaki sposób jej groził? Tego sąd dotąd nie wiedział. A jednak, zwrócił uwagę prezes, tajemnica ta nie jest tajemnicą jednej osoby, jest ona w rękach kilku osób. Opiekunowie Maryi-Róży może ją znają, a obowiązkiem ich jest zwierzyć się przed przysięgłymi.

(C. d. n.)

Wydawca i odpowiedzialny redaktor Platon Kosteck.

Z drukarni i litografii Pillera i Spółki.